

Przegląd Filozoficzny – Nowa Seria
R. 29: 2020, Nr 4 (116), ISSN 1230–1493
DOI: 10.24425/pfns.2020.135080

J a c e k H o ł ó w k a

Lektura i metafizyka

Słowa kluczowe: *miejsca niedookreślone, performatywy, quasi-rzeczywistość, świat idealny, świat intencjonalny, świat psychiczny, świat realny*

Książka Romana Ingardena *O dziele literackim* opisuje budowę dzieła literackiego i wprowadza postulat polifonicznego zespolenia warstwy dźwiękowej, znaczeniowej, wyglądowej i przedmiotowej. Omawia też sposób istnienia przedmiotów, postaci i sekwencji zdarzeń występujących w dziele literackim, stawiając fundamentalne pytanie o to, w jaki sposób istnieją światy wykreowane przez literaturę. Badając ten problem autor stwarza okazję sobie i czytelnikom do zajęcia się wieloma pytaniami z zakresu metafizyki.

Przypomnienie zasadniczego stanowiska

Jak istnieje świat przedstawiony w dziele literackim? Wstępnie rysują się trzy możliwe odpowiedzi. Może się wydawać – szczególnie w przypadku literatury realistycznej – że światy przedstawione w dziełach literackich są fragmentami naturalnego, głównie fizycznego świata, w którym żyjemy. Taka propozycja jest jednak nie do przyjęcia – twierdzi Ingarden – ponieważ to, co się dzieje w powieści, której akcja toczy się na przykład w Monachium lub w Krakowie, z pewnością nie opisuje zdarzeń, które realnie zaszły w Monachium lub w Krakowie (por. Ingarden 1988, s. 289). Literatura piękna to nie reportaż; opisuje fikcję, a nie fakty. Jest oczywiste, że światom fikcyjnym nie można przypisać realnego istnienia, i musimy uznać, że one istnieją jakoś inaczej. Ale jak? Czy na przykład tylko w wyobraźni twórcy i jego czytelników?

To też nie jest dobra odpowiedź – uważa Ingarden – ponieważ Hamlet i Ofelia istnieją dzisiaj tak samo, jak istnieli za życia Szekspira, to znaczy od czasu, gdy tragedia *Hamlet* została po raz pierwszy wystawiona lub opublikowana. Do tego momentu jedynie jej autor miał pełny wpływ na los przedstawionych w dziele postaci i mógł ich perypetie modyfikować, jak uznał za stosowne. Później stracił tę możliwość. W efekcie, po wielu wiekach, możemy słyszeć słowa, które kierowali do siebie Hamlet i Ofelia, szczególnie jeśli zechcemy odczytywać dramat Szekspira na głos. Możemy się też zastanawiać, czy Hamlet naprawdę kochał Ofelię, czy raczej bawił się jej uczuciem. Gdy skupimy się na tej kwestii, szybko dojdziemy do wniosku, że jeśli została ona jakoś rozstrzygnięta przez Szekspira, to nie wolno nam jej zaciemniać i traktować inaczej, niż chciał autor. Musimy znaleźć odpowiednie wskazówki, które zostały zawarte w samym dziele, albo – jeśli ich tam nie ma – po prostu musimy uznać, że nigdy nie będziemy wiedzieć, czy Hamlet naprawdę kochał Ofelię, czy tylko ją zwodził. Oczywiście wolno nam na rozmaite sposoby uzupełniać gotowe już dzieło, ale powinniśmy wtedy odróżniać ukonkretnienie treści powieści czy sztuki już istniejącej, od nieuprawnionego przejścia prerogatyw autora. Czymś innym jest uplastycznienie i wypełnienie szczegółową treścią szkicowo zarysowanych postaci – i to nam wolno robić – a czym innym jest nadawanie tym postaciom nowych cech, zmieniających sens utworu. Według Ingardena autentyczność utworu literackiego musi być szanowana i zawłaszczenie jego treści jest niedopuszczalne. Hamlet Szekspira musi pozostać tą samą postacią dla każdego czytelnika i dlatego nikt nie jest uprawniony do wprowadzania istotnych zmian. Wolno tylko wypełniać miejsca „niedookreślone”, czyli wolno wypełniać luki w obrazach postaci i sytuacji opisanych w dziele. Na tym nawet polega najistotniejszy aspekt obcowania z dziełem literackim. Nie wolno jednak modyfikować istniejącego utworu. Dzieło nie jest współtworzone w wyobraźni czytelnika. On tylko potwierdza trwałość i tożsamość utworu, przyczynając się do tego, że utwór staje się częścią jakiejś kultury literackiej: angielskiej, europejskiej, może światowej.

Nasuwa się zatem trzecia możliwość, że świat powieści lub dramatu jest zasadniczo podobny do rzeczywistości idealnej, takiej jak ta, w której tkwią przedmioty matematyczne, czyli liczby, figury geometryczne, funkcje, ciągi itd. Tak jednak też nie wolno rozumieć statusu przedmiotów i postaci występujących w literaturze, ponieważ świat idealny jest przez nas odkrywany, a nie stwarzany. Odkrywamy go wraz z jego rozmaitymi własnościami i z przedmiotami znajdującymi się w jego obrębie. Ten świat nie ma autora i zawsze jest dany jako gotowy. Jego elementy nie są przez nas swobodnie kształtowane. Rozpoznajemy je jako gotowe. Na wartość liczby π nikt nie ma wpływu i ta liczba nie ma autora. Z pewnością światów stwarzanych w literaturze pięknej nie poznajemy przez podobne badanie gotowych obiektów. Nie mamy przecież trwałych i ogólnych założeń na temat postaci literackich, a nawet zmiana konwencji literackiej powoduje czasem, że jakiś utwór staje się szczególnie interesujący

przez swą unikalność. Dzieła literackie nie opierają się na aksjomatach i nie podtrzymują teorii poznawczych.

Zatem trzy najprostsze odpowiedzi musimy odrzucić. Świat przedstawiony w literaturze nie jest ani realistyczny, ani psychologiczny, ani idealny. Co zostaje? Jak istnieją Hamlet i Ofelia, zmarły król Danii i jego brat-morderca? Odpowiedź Ingardena zdobyła mu sławę. Jego filozofia postuluje istnienie czwartej, nieuwzględnianej wcześniej możliwości. Ingarden przyjął, że literatura piękna opisuje światy, które powstały w wyobraźni autora, zostały zapisane, a później zdobyły sobie trwałość i autonomiczność przez swe uwiarygodnienie w wyobraźni czytelników. Te światy nie są ani realne, ani psychiczne, ani idealne, tylko są *quasi-realne*, *quasi-psychiczne* lub *quasi-idealne*. Wszystko w nich jest na niby. Czytelnicy Szekspira interesujący się losem postaci z jego utworów zgodzili się uznać stworzoną i utrwaloną tożsamość bohaterów, szanują relacje zachodzące między nimi i akceptują literacką nieodwracalność ich perypetii. Treść udanego dzieła literackiego jest nienaruszalna i niezmienna. Prezentowane postacie żyją życiem przygodnym, ale własnym, ich losy są silnie utrwalone w pamięci czytelników i wzmocnione przez zamiar dalszego rozpamiętywania ich perypetii. To jest fikcja, ale fikcja dobrze zorganizowana i pod pewnymi względami twarda jak skała. Jeśli społeczna konwencja dotycząca dzieł literackich traktowana jest serio, to właściwości przypisane postaciom literackim są tak wyraźne i silne, jak cechy fizyczne przedmiotów realnych.

Intencjonalność i performatywność

Skąd bierze się konwencja narzucająca tak silną trwałość przedmiotom fikcyjnym? Możemy chyba powiedzieć, że jest to jedno z zastosowań funkcji performatywnej języka. Przez odpowiednie użycie słów możemy stwarzać fakty, które istnieją tylko dzięki temu, że te słowa były wypowiedziane i wtedy ich następstwa trwają przez oczekiwany czas po tym, jak zostały wypowiedziane. John Langshaw Austin, odkrywca funkcji performatywnej słów, tak to opisuje:

Załóżmy na przykład, że w trakcie ceremonii zaślubin mówię, jak to bywa: „Tak”. To znaczy, że biorę tę kobietę za mą prawnie poślubioną żonę. Albo załóżmy, że nadepnąłem komuś na odcisk i mówię: „Przepraszam”. Lub załóżmy jeszcze, że trzymam w ręku butelkę szampana i mówię: „Nadaję temu statkowi imię Królowa Elżbieta”. Lub mówię: „Idę o zakład, że jutro będzie padać”. We wszystkich tych wypadkach absurdalne byłoby uznawanie tego, co mówię, za sprawozdanie z wykonania czynności, która niewątpliwie została wykonana – czynności zakładania się, nadawania imienia czy przepraszania. Powiedzielibyśmy raczej, że mówiąc to, co mówię, rzeczywiście wykonuję daną czynność (Austin 1993, s. 314).

Stanowisko Austina zostało szeroko uznane za trafne i wnikliwe. Nie można w inny sposób nadać komuś imienia własnego, jak tylko przez oznajmienie w odpowiednich okolicznościach przez upoważnioną osobę, że wybrane imię zostaje jej niniejszym nadawane. Takie oznajmienie dokonane przez kapłana w świątyni, rodzica przed odpowiednim urzędnikiem stanu cywilnego lub przez entomologa, który publikuje artykuł na temat jakiegoś nieznanego wcześniej pajęczaka, jest wiążące i trwałe. Na pierwszy rzut oka może się to wydać absurdalne, że nadawanie imienia miałoby być zasadniczo podobne do snucia powieści. Jednak w istocie te praktyki społeczne przebiegają dość podobnie. Odpowiednia osoba w odpowiednich okolicznościach wypowiada słowa, które zmieniają stan rzeczy w jakimś świecie. Kapłan lub urzędnik nadaje dziecku imię. Autor przy biurku pisze rozdział, który określa dalsze losy postaci wcześniej wprowadzonych do powieści lub sztuki. Ich słowa mają moc stwarzania faktów, odpowiednio: realnych i intencjonalnych. W obu przypadkach wykorzystywane są performatywy, czyli wypowiedzi, które w ramach pewnej praktyki społecznej stwarzają nowe fakty. Podobnie, przez złożenie przysięgi prezydent-elekt staje się rządzącym prezydentem, świadek w sądzie gwarantuje, że to, co w dalszym ciągu powie, będzie uznawać za prawdę, i skłania do tego samego swych słuchaczy, kontrahent występujący przed notariuszem zrzeka się roszczeń do domu, który dotąd do niego należał. W podobny sposób Szekspir wywołuje z nicości blanki zamku w Helsingør i podobnie strażnik pełniący służbę na murach zamku upewnia się, czy podchodzący do niego człowiek jest wartownikiem, który ma go zluzować. Dramat zaczyna się od słów:

- Kto tu?
- Nie, pierwaj ty sam mi odpowiedz. Stój, wymień hasło!
- Niech Bóg chroni króla.
- Bernardo?
- Ten sam (Szekspir, *Hamlet*, 1958, s. 7).

Potem lawinowo toczą się inne dramatyczne wydarzenia. Szekspir zakłada, że od początku umiemy wytworzyć sobie intencjonalną kopię fortecy Kronborg i stopniowo zaczynamy rozumieć, że stary król został zabity, a teraz domaga się od swego syna zemsty na zabójcy. To żądanie, a także wątpliwości Hamleta, czy duch naprawdę jest jego ojcem, i sprytne zabiegi stryja, który przejął władzę w Danii, są następstwem istnienia performatywów. Słowa stwarzają świat intencjonalny przez twierdzenia i niedomówienia.

Hamlet jest duńskim księciem, ale oczywiście jest księciem fikcyjnym, a nie rzeczywistym. Ten pozornie ulotny status ma jednak tylko w naszym, realnym świecie. W świecie intencjonalnym, w którym sam żyje, i który powstaje z serii performatywów rozciągających się na kilkadziesiąt stron, Hamlet jest realnym i całkowicie prawowitym pretendentem do tronu. Ma w istocie znaczne szanse na zdobycie rozstrzygającego poparcia podczas elekcji po ewentualnej śmierci

aktualnego władcy. Ten dziwny status – realny książę w książce, intencjonalny książę w naszym świecie – nasuwa kłopotliwe pytanie: w jakiej relacji pozostaje Hamlet do całej plejady realnych książąt duńskich?

Przede wszystkim rozumiemy, że Dania, w której ewentualnie będzie rządził Hamlet, jest jakąś inną Danią, niż Dania w której od XV do XIX wieku rządziły nieprzerwanie dwie dynastie, Oldenburgów i Glücksburgów. Hamlet do nich nie należał. Rozumiemy też, że gdy stapał po duńskiej ziemi, to nie była to ta ziemia, którą widzimy zaznaczoną na mapie na północ od Niemiec. Kraj, w którym żył Hamlet, miał taki sam teren, jak teren należący wówczas do realnej Danii, ale literacka Dania była narysowana na innych mapach niż mapy powszechnie znane historykom tej epoki. Na intencjonalnych mapach wszystko było zmyślone z naszego punktu widzenia, mimo że pozostawało nieodróżnialne od elementów realnego świata. Fikcja jest zawsze grą pozorów, ale najczęściej dla zachowania wiarygodności te pozory są organizowane konserwatywnie. Elementy świata wyobrazonego wciskają się między elementy świata realnego i tylko minimalnie go modyfikują. Świat stworzony przez wyobraźnię tylko minimalnie różni się od prawdziwego. Tę różnicę trzeba interpretować równolegle na dwa sposoby. Te dwa światy mogą, ale nie muszą, różnić się deskryptywnie; oraz muszą, a nie tylko mogą, różnić się kategorialnie. Hamlet wierzy na przykład, że granice Danii sięgają aż po ujście Wisły. To jest różnica deskryptywna. Możemy opisać, co to znaczy, że między Danią i ujściem Wisły nie ma Niemiec, i że Polacy z Duńczykami mają wspólną granicę. Nie wiemy, rzecz jasna, czy Szekspir w to wierzył, czy tylko udawał, że wierzy; i to nie ma większego znaczenia, mówimy bowiem o światach intencjonalnych, które są wyobrażone, a nie o świecie realnym, który ma zmysłowo uchwytne, fizyczne właściwości. Także Fortynbras powracający rzekomo z Wisły może coś fantazjuje, a może nie. Czy Eissel i Weissel to ta sama rzeka? Jeśli tak, to może Fortynbras był nad Wisłą. Jeśli nie, to może pomylił jakieś dwie inne rzeki. Mogło być zapewne i tak, i tak, ponieważ w świecie intencjonalnym nie obowiązuje reguła, że wszystko ma wyglądać tak, jak w świecie realnym. To byłby absurd. Sugerowalibyśmy wtedy, że świat intencjonalny też jest realny, a wiemy, że to nieprawda. Świat intencjonalny powinien być na tyle podobny do realnego, by można było ustalić między nimi jakiś izomorfizm, ale nie musi być bardziej podobny. Zazwyczaj świat intencjonalny widzimy jak przez mgłę. To nie znaczy, że jest on chwiejny lub zmienny, tylko znaczy, że jest niedookreślony. Ma luki, które widz w teatrze lub czytelnik z książką w ręku powinien sobie uzupełniać, choćby warunkowo i na krótko. Musimy pamiętać, że świat intencjonalny jest w zasadzie kompletny, i że jeśli nie znamy jakichś szczegółów dotyczących jego budowy, to nie powinniśmy czuć się pogubieni z tego powodu. W świecie realnym też nie znamy większej części szczegółów poza zasięgiem naszego wzroku. Nie wiemy, kto teraz rozmawia za oknem, co za samochód przejechał za drzewem, co sąsiad ma dziś na obiad. W sumie o postaciach z książki wiemy znacznie więcej niż o naszych

realnych bliźnich. Co jeszcze ciekawsze, w dziele literackim obowiązuje dziwna reguła dotycząca upływu czasu. Wydarzenia biegą tam jakimś swoim tempem, ale nasz dostęp do nich zupełnie nie zależy od przepływu owego wewnętrznego czasu. Możemy skakać czytając książkę z pierwszego rozdziału do ostatniego, możemy jakąś część czytać po wiele razy, jakąś inną możemy całkiem opuścić. W dziele literackim obowiązują dwa czasy – czas wewnętrzny, porządkujący wydarzenia, i czas odczytania, układający te wydarzenia zgodnie z naszą wolą.

Możemy zatem nałożyć na siebie czas intencjonalny, czyli wewnętrzny czas dzieła, i czas realny, w którym sami żyjemy. Możemy powiedzieć, że jakiś przedmiot żyje dwa razy, na przykład twierdza Kronborg w Danii. Raz występuje w czasie obowiązującym w świecie realnym, drugi raz występuje w czasie intencjonalnym. W jaki sposób te dwa czasy mogą różnić się od siebie? Znow – deskryptywnie i kategorialnie. Deskryptywnie, ponieważ upływ czasu może być szybszy lub wolniejszy w świecie intencjonalnym w porównaniu do biegu czasu realnego. Kategorialnie, na mocy twierdzenia, że czas w innym świecie jest różny od czasu biegnącego w świecie realnym, ponieważ nawet gdy oba biegą równoległe, to jest to tylko zbieg okoliczności, i równie dobrze mogłoby to być inaczej.

Ponadto powinniśmy przyjąć pogląd, że świat intencjonalny może być różny od świata realnego tylko metafizycznie, pozostając jakościowo nieodróżnialnym od niego. Może to brzmie dziwnie, ale dobra filozofia zwykle brzmi dziwnie – inna filozofia jest po prostu trywialna. Zresztą przyjęliśmy już ten pogląd – i teraz tylko ten fakt odnotowuję – że przynależność do tej lub innej kategorii metafizycznej w żaden sposób dodatkowo nie charakteryzuje przedmiotu. Kant wyrażał tę myśl mówiąc, że tysiąc pomyślanych talarów, to ani jeden talar mniej, ani więcej, niż tysiąc rzeczywistych talarów. To bardzo trafne. Coś podobnego mówił pewien brytyjski filozof zwracając uwagę, że przynależność do kategorii metafizycznych jest podobna do członkostwa w klubie. Na ulicy nie wiadomo, kto należy do pobliskiego klubu, a kto nie. Dopiero przed drzwiami widać, że jedni panowie są wpuszczani, a innym uświadamia się, że nie mają zaproszenia. Co więc odróżnia klubowicza od nieklubowicza? Nic, ponieważ w zasadzie każdy może być członkiem klubu. Nie ma formalnych ograniczeń, tylko obowiązuje zasada, że trzeba mieć poręczenie. Takie poręczenie jedni otrzymują, a inni nie, i to wszystko. Należenie do klubu jest wyznaczone przez kryteria kategorialne, a nie deskryptywne. Metafizyczne odróżnienia mają podobną, magiczną siłę. Jednym przedmiotom nadają status przedmiotów realnych, innym status przedmiotów intencjonalnych, choć różnica między tymi statusami nie wpływa z różnicą między ich właściwościami.

Kategorie metafizyczne są w zasadzie rozłączne, gdyż w przeciwnym razie te same przedmioty mogłyby mieć podwójny status metafizyczny i magia metafizyczna byłaby narażona na samowolne nadużycia. Nie przyjmujemy jednak za aksjomat, że kategorie metafizyczne muszą być rozłączne. Poprzestańmy na

stwierdzeniu, że tak jest zazwyczaj, i przyznajmy, że czasem tak jest koniecznie. Na przykład konieczne jest to, że Hamlet jest tylko intencjonalnym księciem, a nie realnym. Jednak inaczej może wyglądać status Napoleona, ponieważ on był już realny, zanim stał się intencjonalny. Zastanówmy się zatem, kiedy powieść, w której występuje Napoleon, przedstawia prawdziwego Napoleona, a kiedy pokazuje Napoleona zmyślonego. Odpowiedź jest znów paradoksalna i znów ma znaczenie dla odróżnienia statusu opartego na kategoriach od charakterystyki przedmiotów opartej na ich opisie. Ta odpowiedź brzmi: literatura piękna zawsze przedstawia prawdziwego Napoleona, ale zarazem nigdy nie przedstawia go prawdziwie. Czemu tak musi być?

Wyjaśnienie ma dwie części. Po pierwsze, powieść, w której występuje Napoleon, musi przedstawiać Napoleona właśnie, a nie kogoś innego, bo gdyby przedstawiała kogoś innego, byłaby książką o sobowtórce Napoleona, lub o jego nieznanym bracie, lub o kuzynie. Po drugie, gdyby jakaś powieść przedstawiała Napoleona w sposób absolutnie wierny wobec faktów, to musiałaby mówić o nim tylko to, co mu się naprawdę przytrafiło, a wtedy byłby to reportaż lub raport policyjny, a nie opowieść literacka. Paradoks polega więc na tym, że w powieści prezentującej Napoleona on pozostaje sobą, choć dzieje się z nim coś innego, niż to, co mu się przytrafiało w realnym świecie. A nawet jeśli dzieje się coś podobnego, to to nie jest to samo, ponieważ przytrafia mu się coś, co należy do świata intencjonalnego, a nie realnego. Czyli znów działa magia metafizyczna.

Przejdźmy do przykładu, bo wiadomo, że diabeł czai się w szczegółach. W powieści *Lekarz wiejski* Honoriusza Balzaka pojawia się Napoleon i legenda mówi, że autor wprowadził go do tej powieści przymuszony niespodziewanymi okolicznościami. Trzeba było do książki dodać jeden rozdział. Balzac zdecydował, że łatwiej mu będzie wprowadzić nową postać niż komplikować losy głównych bohaterów. Wykorzystał jakąś anegdotę o Napoleonie. Teraz ci, którzy wiedzą, jak to było naprawdę, zwykle nie czytają tego rozdziału, bo rozumieją, że to nie jest ani dobra literatura, ani dobra biografia. Może jest to dobra anegdota.

Hermetyczność kategorii metafizycznych

Powyższej interpretacji pozornie przeczy spostrzeżenie, że ktoś mógłby napisać powieść, w której między jakieś fikcje literackie wstawia wycinki z gazet, fragmenty podręczników i tabliczkę mnożenia. Powstaje literacki kolaż. Bohater takiego dzieła jest zapewne bardzo młody (albo stary i ma Alzheimera), i dlatego czasem studiuje Newtona i Euklidesa, a czasem nie może sobie przypomnieć przez co 82 dzieli się bez reszty lub kto jest aktualnym ministrem

zdrowia. Czym jest taka powieść? Fikcją, gazetą, podręcznikiem, paszkwilem psychologicznym? Oczywiście jest tym wszystkim po trochu, i tym samym nie ma wartości ani literackiej, ani informacyjnej, ani edukacyjnej. Inaczej być nie może. Powieść przeplatana wymkami z Newtona i Euklidesa jest nudna jako powieść i przestarzała jako gazeta. Jej istnienie może być pretekstem do sformułowania tylko jednej filozoficznej refleksji z zakresu metafizyki: to, co wygląda na jakąś rzecz, czasem jest w rzeczywistości tą rzeczą, a czasem nie jest. Ale to jest skończony banał. Choć i on doczekał się ciekawego komentarza.

Hilary Putnam daje przykład mrówki, która idzie po mokrym piasku na plaży i zostawia za sobą ślad przedstawiający zarys twarzy Winstona Churchilla (Putnam 1998, s. 295). Czy to jest portret Churchilla? Putnam twierdzi, że nie, i większość filozofów z nim się zgadza. Ten niby-rysunek jest wprawdzie podobny do zarysu portretowego Churchilla, ale to nie powoduje, że staje się portretem. To jest tylko układ linii przypadkowo zbieżnych z zarysem pewnego wizerunku. Portret oprócz podobieństwa do pierwowzoru musi być jeszcze celowym i intencjonalnym odtworzeniem czyjegoś wyglądu. Ma status kategorialny, a nie deskryptywny, ponieważ nie istnieją przypadkowe portrety. Dziecko podobne z twarzy do dziadka nie jest portretem swego dziadka, tylko jest do niego podobne. Także malarz, który zrobił portret jednej bliźniaczki, nie może, jeśli ta biedaczka nagle umrze i nie wniesie zapłaty, pójść do drugiej bliźniaczki i powiedzieć, że ma jej portret i teraz chciałby odebrać należne mu pieniądze. Nawet doskonałe podobieństwo wyglądu nie przesądza o tożsamości. Znowu działa magia metafizyczna.

Weźmy jeszcze inny, ciekawy przykład. Donald Davidson rozważa stan, w którym on by się ewentualnie znalazł, gdyby mu się przytrafiła pewna okropna metafizyczna przygoda. Pewnego dnia całkiem niemądrze wałęsa się podczas burzy po śmierzących mokradłach i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy, że ziemia tych mokradel składa się z molekuł, które mogłyby mu służyć za pożywienie, gdyby tylko były bardziej apetyczne. (Proszę wybaczyć, ale nasze odchody mają zasadniczo podobny skład chemiczny, jak nasza żywność). Nagle strzelają dwa pioruny. Pierwszy trafia Davidsona i zabija go na miejscu. Drugi, sekundę później, strzela gdzieś obok i powoduje powstanie ludzkiej postaci do złudzenia przypominającej Davidsona i nawet wyposażonej w sprawnie działający mózg, który kontynuuje myśli Davidsona. Przede wszystkim nie wolno nam zakładać, że Davidson tylko zemdlął i po chwili wrócił do siebie. Pierwszy piorun go zabił i spalił. Zatem drugi piorun wyczarował go od nowa z mułu ziemi i teraz stoi przed nami kontynuacja Davidsona lub jego sobowtór. Musimy zapytać: czy to jest Davidson w swoim dalszym życiu, czy ktoś tylko deskryptywnie nieodróżnialny od Davidsona, rozpoczynający teraz swe dorosłe życie bez wcześniejszej przeszłości? Już wiemy, że tożsamość osobowa jest tylko częściowo wyznaczana przez posiadane cechy i zasadniczo zależy od czegoś innego – od przynależności do odpowiedniej kategorii metafizycznej. Czy zatem

powiemy, że naturalny Davidson, który właśnie umarł, i nowoutworzony Davidson, który właśnie zaczyna istnieć, należą do tej samej kategorii metafizycznej, są ludźmi, czy należą do dwóch innych? Dawny Davidson był człowiekiem, a nowy Davidson jest tylko zombie?

Zwolennicy tezy, że Davidson kontynuuje swe dawne istnienie pod formą „bagiennego luda” (*Swampman*), podkreślają, że obie postacie mają albo te same cechy, albo ich cechy są ściśle powiązane kausalnie. I mogą dodać: „tożsamość osobowa ma charakter deskryptywny”. Zwolennicy tezy, że nowy Davidson nie jest człowiekiem, tylko zombie, będą natomiast argumentować, że *Swampman* w ogóle nie ma biografii, więc nie może być kontynuacją kogokolwiek. W najlepszym razie jest irytującym sobowtórem. Czy ten dylemat jest rozwiązywalny? Chyba nie. Choć ja uważam, że w realnym świecie istnieje jeszcze coś więcej niż przedmioty i ich właściwości – na przykład uporządkowania.

Rozpatrzmy zatem kolejny przykład, może dwa przykłady. Wyobraźmy sobie, że ktoś z własnego złota wytopi sobie jednego krugerranda, łudząco podobnego do krugerrandów z Południowej Afryki. Skąd ma matrycę – nie musi nas interesować. Następnie ten medalionista nie używa swego krugerranda jako monety, tylko trzyma go na biurku. Możemy zapytać, czy ten krugerrand jest prawdziwy, czy fałszywy, i czy jego użycie byłoby tylko nadużyciem, czy poważnym oszustwem? Poszukajmy analogii. Najlepszą stanowi podrobiony banknot. Wiemy, że świadome wprowadzanie na rynek podrobionych banknotów jest karalne, więc może użycie podrobionego krugerranda powinno też być karalne? Medalionista zapewne powie, że to zła analogia. Zapyta, skąd bierze się siła nabywca papierowych pieniędzy, i sam wyjaśni, że z nadzoru bankowego. Bank narodowy (lub bank centralny, jeśli ktoś boi się słowa „narodowy”) dba o to, by siła nabywca banknotów będących w obiegu nie ulegała zmianom powodującym niebezpieczną inflację lub deflację. W tym celu bank kontroluje sumę nominalów w obrocie i nie dopuszcza do nadmiernego wzrostu lub spadku liczby banknotów w obiegu. Tak robi, ponieważ wartość pojedynczego banknotu zależy od liczby pozostałych banknotów w obiegu. Banknoty są oceniane podwójnie: ze względu na swe pochodzenie i ze względu na ewentualne szkody w systemie gospodarczym powodowane przez ich nadmiar lub niedobór.

W odniesieniu do podrobionego krugerranda można użyć tylko jednego z tych dwóch argumentów. Taka moneta ma istotnie złe pochodzenie. Nie została zatwierdzona, czyli jest nielegalna. Jednak drugi argument – o destabilizacji gospodarki – nie ma zastosowania, gdyż prawdziwy krugerrand i fałszywy krugerrand mają w sobie dokładnie taką samą ilość złota, a wprowadzanie nieprzewidzianej ilości złota na rynek nie powoduje zachwiania gospodarki, tylko najwyżej obniża wartość złota. Podrabiany krugerrand jest jak *Swampman*. Ma wszystkie realne cechy, których się od niego oczekuje, ale należy do nieakceptowanej kategorii monet. Nie jest dopuszczony do klubu prawdziwych monet, ponieważ wytopiony został pokątnie.

Również Hamlet jest podobny do Swampmana. Od realnych pretendentów do tronu odróżnia go to, że ma inny status metafizyczny niż oni. Hamlet i realni książęta żyją w tym samym czasie w dwóch alternatywnych światach. Nie mogą się spotkać, nawet jeśli oni i on mieszkają w Kronborgu w tym samym czasie. Dzieli ich od siebie przynależność do różnych kategorii metafizycznych. Kronborg Hamleta i Kronborg realnego księcia wyglądają tak samo, ale to są dwie różne twierdze, jedna realna, druga intencjonalna. Czyli Hamlet i realny książę nie mogą ze sobą rozmawiać, nie mogą podać sobie ręki, nie mogą walczyć o tron przeciw sobie. Dzieli ich zaporą metafizyczna.

W jaki sposób można utrzymać taką izolację między światami? Czy kategorie metafizyczne mają charakter naturalny, czy sztuczny? Rozważmy trzy propozycje: naturalistyczną, konwencjonalną i pragmatyczną.

Propozycja 1: Klasyfikacja naturalistyczna spełnia wymagania podziału w sensie logicznym. Jest wyczerpująca i rozłączna. Jednoznacznie zalicza wszystko, co istnieje, do odpowiednich kategorii metafizycznych. Liczba kategorii jest określona i kategorie są zbudowane w oparciu o ściśle kryteria, co więcej, znamy warunki konieczne tożsamości przedmiotów należących do poszczególnych kategorii. Widzimy wprost, które są realne, a które są idealne, co jest psychiczne, a co jest intencjonalne. Jeśli powstają spory, to rzecznicy przeciwnych stanowisk mogą jedynie nawoływać się nawzajem do uważniejszego patrzenia. Czym jest Swampman, fałszywy krugerrand i człowiek, którego nie przyjęto do klubu? Kim jest aktor z teatru, który po pięćdziesiątym przedstawieniu *Hamleta* oświadcza, że nie zamierza wracać do swej realnej tożsamości i na zawsze pozostanie intencjonalnym Hamletem w realnym świecie? Co wtedy? Czy musimy się zgodzić, czy powinniśmy mu zaproponować terapię? Ustalenie liczby i zawartości kategorii metafizycznych musi w propozycji naturalistycznej opierać się na oczywistości lub na ejdetycznym oglądzie. Czasem to jednak nie wystarcza, by rozwiązać wątpliwości. Ja na przykład nie mam zdolności wywołania w sobie takich oglądów.

Propozycja 2: Klasyfikacja konwencjonalistyczna nie spełnia warunków podziału w sensie logicznym. Pewne przedmioty zalicza do kilku kategorii na raz, inne pozostawia bez zaszeregowania. Taka klasyfikacja ma charakter umowny i przygodny. Jest zgodna z założeniem, że podstawą klasyfikacji są funkcjonalne relacje w obrębie tej samej kategorii. Świat realny jest charakteryzowany jako czasoprzestrzenny i powiązany związkami przyczynowymi. Świat idealny opiera na związkach logicznie koniecznych. Świat psychiczny na indywidualnej wyobraźni. Świat intencjonalny na zdyscyplinowanej kolektywnej wyobraźni. O aktorze, który niegdyś grał rolę Hamleta wieczorami, a teraz się z nią utożsamia przez wszystkie pory dnia, powiemy, że to prowokator i naiwny fantast. Przeciw powszechnie przyjętej konwencji

próbuję forsować swą własną, prywatną konwencję, że każdy może zawsze przeskoczyć z jednej kategorii metafizycznej do drugiej, jeśli tylko ma na to ochotę, i nie dostrzega jałowości swych żądań. Może ten aktor stara się tylko zdobyć status kogoś niezwykłego, kto należąc do jakiejś grupy, chce nie być podobny do innych elementów tej grupy, a nawet uważa się za wyrastającego ponad grupę, jako np. egzemplarz *Homo sapiens*, który nie jest człowiekiem, lecz jakimś nadczłowiekiem? Ta koncepcja klasyfikacyjna jest dość naiwna.

Propozycja 3: Klasyfikacja pragmatyczna spełnia dwa własne warunki. Po pierwsze, wprowadza podział na grupy, którego rezultatem są grupy przedmiotów mogących zmienić swój status przy zachowaniu wyposażenia jakościowego. Czyli przechodzą z grupy do grupy bez zmiany właściwości. Po drugie, jest to klasyfikacja szeroka, która może się odnosić tylko do dużej, może nawet nieskończonej liczby przedmiotów. Oba warunki są spełnione przez wszystkie cztery kategorie wyróżnione przez Ingardena: przedmioty realne, idealne, psychiczne i intencjonalne. W każdej z tych kategorii przedmiotów jest wiele i te przedmioty mogą występować w więcej niż jednej kategorii nie tracąc przy tym tożsamości indywidualnej, a jedynie zmieniając zaszerogowanie. Np. realny i intencjonalny Kronborg jest taki sam, choć nie jest to ten sam Kronborg. Liczba pojęta jako wartość matematyczna i liczba pomyślana jest ta sama, choć nie jest prezentowana tak samo. Punkt drugi tej propozycji mówi, że osobnej kategorii metafizycznej nie mogą stanowić zbiory ograniczone liczbowo. Awans wojskowy przenosi oficera z grupy majorów do grupy pułkowników, czyli zmienia status oficera (niekiedy tak dalece, że pułkownik nie odpowiada za błędy majora poza przypadkiem czynów plamiących honor oficera), ale poszczególne stopnie oficerskie nie stanowią osobnych kategorii metafizycznych. Podobnie, zmiana stanu cywilnego, wstąpienie lub wystąpienie z zakonu religijnego, przyjęcie lub odrzucenie nagrody Nobla zasadniczo zmieniają status osób poddających się takim zmianom, ale odpowiednie grupy ochotników lub wybrańców nie stanowią kategorii metafizycznych, ponieważ ich członkowie są zbyt nieliczni i nie składają się na „osobny świat”.

Gdyby Roman Ingarden zgodził się rozważyć wymienione wyżej trzy propozycje, to sądzę, że wybrałby pierwszą z nich. Ufał ejdetycznym oglądom. Jednak wydaje mi się, że jego teoria lepiej brzmi, gdy przypisze jej się trzecią propozycję. Pierwsza propozycja doprowadziła go do przyjęcia, że do kategorii przedmiotów idealnych powinniśmy też zaliczyć pojęcia językowe. Sądzę, że to jest błąd, wynikający z założenia, że w zasadzie każdy człowiek ma naturalną zdolność posługiwania się oglądami ejdetycznymi, które ujawniają „wewnętrzną naturę” badanych przedmiotów. Już wspomniałem, że ja nie mam tej zdolności.

Ingarden słusznie przyjmuje, że sens wypowiedzi określony jest przez właściwy dobór słów i budowę zdania. Budowa zdania przesądza o tym, co jest

przedmiotem wypowiedzi, ponieważ każde typowe zdanie oznajmujące mówi coś o tym, co występuje w zdaniu w funkcji podmiotu. Tym czymś jest zawsze jakiś stan rzeczy – twierdzi Ingarden – i ta propozycja przypomina stanowisko Ludwiga Wittgensteina. Szczególnie trafne wydaje mi się w tym kontekście twierdzenie, że raczej stan rzeczy, do którego odnosi się zdanie, ma zasadnicze znaczenie dla określenia sensu zdania niż użyte wówczas sformułowanie. Ta teza może służyć jako podstawa do określenia zasad poprawnego przekładu tekstów z jednego języka na inny. Dokonując tłumaczenia należy przede wszystkim wymagać, aby obie wypowiedzi wytwarzały tę samą sytuację w tym samym świecie intencjonalnym. Czasem trzeba więc zrezygnować z zachowania identycznej gramatycznej struktury zdań, choć niekiedy tylko takie postępowanie stwarza jedyną możliwość ścisłego zachowania sensu dwóch wypowiedzi. Oto przykład z dzieła Ingardena:

Wźmy intencjonalny odpowiednik zdania: „Ten oto stół jest brązowy”. Trzeba przede wszystkim zaznaczyć, że nie można w sposób czysty uchwycić szczególnej struktury stanu rzeczy, dopóki się twierdzi – jak się to dotychczas najczęściej robiło – że stan rzeczy to w wypadku naszego przykładu to samo, co „bycie brązowym tego oto stołu” (Ingarden 1988, s. 198–199).

Problem gramatycznego podobieństwa wypowiedzi jest tu wyraźnie podniesiony. Język niemiecki odróżnia dwie wypowiedzi o tej samej treści i o takiej samej poprawności językowej, ale o różnej gramatyce: „*Dieser Tisch ist braun*” oraz „*Das Braunsein dieses Tisches da*”. Obie wypowiedzi odnoszą się do tego samego stanu rzeczy, czyli stwarzają taki sam fragment świata intencjonalnego. Jednak pierwsza wypowiedź jest zdaniem, a druga równoważnikiem zdania. Nasuwa się w związku z tym pytanie, jak zachować to odróżnienie w tłumaczeniu na polski. Po polsku trudno powiedzieć: „bycie brązowym tego stołu oto”. Ingarden słusznie to podkreśla (przypis na s. 199). Co więc mamy zrobić, jeśli w jakimś niemieckim opowiadaniu ktoś dokona odróżnienia między dwoma zacytowanymi wyżej niemieckimi wyrażeniami? Sądzę, że nie można tu dać żadnej ogólnej rady. Trzeba się trzymać zasady, że tłumaczenie ma tworzyć możliwie najbardziej podobny stan rzeczy w świecie intencjonalnym do sytuacji stwarzanej przez oryginał, tak jak to Ingarden wstępnie sugerował, i to wystarczy.

Wątpliwa predylekcja do idealizmu

On sam niestety nie poprzestał na tym i zaproponował dodatkowe wyjaśnienie. To była nieszczęśliwa decyzja. Ingarden postanowił odróżnić trzy rozmaite statusy, które mogą przysługiwać jakiemuś terminowi występującemu we frazie językowej. Po pierwsze ten termin może być częścią opisu zdaniowego, po

drugie może być częścią charakterystyki nazwowej i po trzecie ten termin może występować w izolacji. Ingarden proponuje, żebyśmy rozpatrzyli zdanie: „Ta oto róża jest czerwona” (Ingarden 1988, s. 199).

Jeśli rzeczywiście dokonujemy odpowiedniej zdaniotwórczej operacji, to niewątpliwie skierujemy się intencjonalnie przede wszystkim na tę oto różę jako na przedmiot (a w szczególności w tym wypadku – jako na rzecz), ale w odmienny nieco sposób, niżbyśmy to czynili w prostym, czysto nazwowym przedstawieniu czy domniemywaniu. W ostatnim wypadku róża występuje jako coś w sobie zamkniętego, jako coś ujętego w jednym uchwycie „z zewnątrz”; coś, co trwając w swym zamknięciu nie odsłania przed nami swego wnętrza (Ingarden 1988, s. 199–200).

To jest stylistycznie wątpliwe wyjaśnienie, a filozoficznie bardzo niejasne i zbędne. Jeśli przyjmiemy istnienie światów intencjonalnych, to dowolne zdanie mówiące coś o róży wywołuje w naszej wyobraźni obraz róży występujący w obrębie jakiejś możliwej sytuacji. Róża jest na grządce, albo na wystawie, albo w wazonie, albo w butonierce. Nie wisi w powietrzu i nie jest wyizolowana ze świata. Zasadnicze jest to, że w kontekście zdania róża jest zawsze fragmentem jakiegoś szerszego stanu rzeczy, mniej lub bardziej rozbudowanego tła. Z kolei w złożonej funkcji nazwowej, na przykład w zwrocie „róża herbaciana”, „róża parkowa”, a nawet „róża wiatrów”, kontekst nie odgrywa żadnej roli. Złożona nazwa nie ewokuje stanów intencjonalnych, tylko wyznacza zakres swego odnoszenia się. Natomiast w izolacji nazwa nie pełni żadnej funkcji, nawet funkcji nazwowej, ponieważ fraza: „czerwona róża” może nie mieć żadnego oznaczania i może być wyłącznie sekwencją dwunastu liter i spacji. Ja na przykład w ten sposób widzę wszystkie teksty pisma japońskiego. Czy warto tu coś dodać? Chyba nic. Ingarden jednak kontynuuje wyjaśnienie, które uważam za niepotrzebne.

Zupełnie inaczej przedstawia się nam przedmiot „ta oto róża”, gdy występuje jako składnik zdaniowo rozwiniętego stanu rzeczy. Wprawdzie jest on wówczas też „przedstawiony”, tzn. pozostaje „w zasięgu spojrzenia”. [...] Mówiąc językiem dotyczącym samego bytu: funkcjonuje on w stanie rzeczy jako podstawa tego, co oprócz tego jeszcze w stanie rzeczy występuje (Ingarden 1988, s. 200).

Czyli czerwona róża zarządza (bo taki jest sens słowa „funkcje”) stanem rzeczy, w którym występuje, i mówi nam coś o swojej sytuacji. Zwróćmy uwagę, że według Ingardena to róża zarządza, a nie słowo „róża” zarządza. Najwyraźniej Ingarden uważa, że kontekst zdania modyfikuje status metafizyczny przedmiotu, do którego odnosi się termin „róża”. Píše, że róża występująca w stanie rzeczy jest jakąś inną różą niż ta, która występuje poza kontekstem jakiegokolwiek stanu rzeczy. Pierwsza jest realna, druga jest psychiczna, intencjonalna, może idealna. Pierwsza jest konkretna i szczegółowa, druga jest ogólna i zawiera w sobie wszystkie możliwe cechy wszystkich możliwych róż, w tym także

niezliczoną liczbę par cech wzajem się wykluczających. Czyli róża idealna jest bytem wyłącznie możliwym lub niemożliwym, w każdym razie nierealnym, i dzięki temu może być zarazem biała, kremowa, żółta, szkarłatna, pąsowa i fioletowa. Natomiast gdy rozpatrujemy słowo „róża” wydrukowane w słowniku, czyli poza wszelkim kontekstem, to sama róża w ogóle na nas nie działa, jest ujęta „w jednym uchwycie z zewnątrz; [jak] coś, co trwając w swym zamknięciu nie odsłania przed nami swego wnętrza” (z przytoczonego cytatu ze s. 199–200). Tymczasem w kontekście literackim lub komunikacyjnym, gdy róża jest częścią opisywanego lub wyobrażonego stanu rzeczy, staje się fragmentem świata i rzekomo „zaczyna się przed nami otwierać”.

[Róża p]ojawia się nam jako coś we wnętrzu swym dostępnego, jakby otwartego. I rozwijając dany stan rzeczy po prostu wykorzystujemy jego „otwartość” i intencjonalnie uzyskujemy wgląd w sam przedmiot, w jego „wnętrze” (Ingarden 1988, s. 201).

Te niejasne przeświadczenia służą Ingardenowi do budowy teorii semantycznej, w której świat intencjonalny jest przedstawiony jako kraina leżąca gdzieś pośredku między dziedziną przedmiotów idealnych i ich realnymi, fizycznymi odpowiednikami. Ingarden zakłada, że każde pojęcie istnieje jako przedmiot idealny. „Ma wnętrze”, które „otwiera się przed nami”, intencjonalnie nam się prezentuje i ukazuje swoją istotę. Zatem ze względu na swą ścisłość i ponadczasowość na przykład pojęcie „bigos” ma się niczym nie różnić od liczby π , ponieważ każdy przedmiot w świecie realnym lub intencjonalnym – zakłada Ingarden – może być rozumiany przez odwołanie się do jego idealnego, pojęciowego pierwowzoru. Ten pogląd uważam za całkiem arbitralny. Dużo rozsądniej jest przyjąć, że nasze presupozycje nie opierają się ani na idealnych pierwowzorach, ani na idealnych znaczeniach, tylko na trywialnych przypomnieniach i skojarzeniach. Rozumiem wiersz *Lokomotywa* nie dlatego, że istnieje idealna lokomotywa, tylko dlatego, że pamiętam wiele różnych lokomotyw i potrafię o nich myśleć zbiorczo, nie tworząc żadnego idealnego wzorca. Pamiętam ich wygląd, zapach, sapanie, bijące od nich gorąco itd. Nie potrzebuję ani idealnego przedmiotu, ani idealnego znaczenia nazwy odnoszącej się do odpowiedniego przedmiotu, by dobrze zrozumieć, o czym mówi Julian Tuwim. Ingarden szuka innego rozwiązania.

Rozróżniliśmy poprzednio znaczenia słowne od idealnych pojęć. Znaczenie słowne nie jest niczym innym – powiedzieliśmy – jak częściową aktualizacją sensu zawartego w odpowiednich idealnych bytowo-autonomicznie istniejących pojęciach. Aktualizowanie i kształtowanie jednolitej całości z części składowych dochodzi do skutku dzięki operacji zdaniotwórczej przez to, że ona wytwarza znaczenia słów od razu w takiej postaci, w jakiej one muszą występować jako części składowe pewnego określonego zespołu zdań. Same pojęcia idealne nie stanowią części składowej tego tworu. Są one wobec niego równie transcendentne, jak operacje subiektywne; są one również transcendentne w stosunku do tych ostatnich i leżą poza zasięgiem ich mocy. Dzięki temu aktualizowaniu zostaje wytworzone

niewątpliwie coś nowego: sens zdania, *resp.* sens zespołu zdań. Same pojęcia idealne nie stanowią części składowej tego tworu. Stanowią one jednak fundament bytowy utworzonych zdań przez to, że podmiot świadomy wybiera, biorąc pod uwagę ich idealny sens, odpowiednie zawarte w nich momenty, wytwarza bytowo-heteronomiczne aktualizacje tych momentów i wiąże w nową całość (Ingarden 1988, s. 443–444).

Czytamy tu, że istnieją idealne, bytowo-autonomiczne pojęcia, należące do jakiegos platońskiego świata pojęć. Ingarden ma oczywiście prawo inkorporować Platona do swojej teorii, ale jest to ryzykowny krok, ponieważ *implicite* zobowiązuje go do rozwiązania problemów, z którymi ta teoria nigdy się nie uporała. Na przykład, czy istnieje idea materii bez właściwości, czy istnieje idea śmiecia dowolnego pochodzenia, ogólna idea śmierci, idea zdania sprzecznego, Murzyna, mulata, kwartona, oktona itd.? A jeśli tak, to co stoi na przeszkodzie, bym twierdził, że istnieje osobna idea mojego pierwszego kichnięcia w XXI wieku? Dowolność i bezużyteczność tej propozycji bije w oczy.

Ingarden dryfuje między Scyllą a Charybdą. Z jednej strony przestrzega, by przedmiotów występujących w dziele literackim nie redukować do wyobraźni autora i nawet podważa stanowisko klasycznej fenomenologii – w tym przypadku swego mentora Edmunda Husserla – które zakłada, że przedmioty występujące w dziele sztuki da się wyprowadzić z bezosobowej czystej świadomości.

[D]opóki okazuje się, że pewne przedmioty z istoty swej opierają się próbom wywiedzenia ich istnienia z aktów czystej świadomości, dopóty powszechność podstawowej tezy transcendentального idealizmu stoi pod znakiem zapytania (Ingarden 1988, s. 446).

Z drugiej strony Ingarden wyklucza, byśmy mogli wywodzić bezpośrednio sens zdań z idealnych pojęć. Stwierdza, że „operacja zdaniotwórcza wytwarza znaczenia słów od razu w takiej postaci, w jakiej one muszą występować jako części składowe pewnego określonego zespołu zdań” (Ingarden 1988, s. 443–444). Czyli tekst dzieła literackiego implikuje istnienie osobnego świata związanego z konkretnym dziełem literackim, świata intencjonalnego, który nie angażuje bezpośrednio sensów idealnych, tylko pozwala na pojawienie się sensów intencjonalnych dzięki „operacji zdaniotwórczej”.

Po co te komplikacje? Bardziej przekonujące jest rozwiązanie o charakterze pragmatycznym. Istnieje olbrzymia liczba pojęć zapisanych w słownikach i mających określony sens. Te pojęcia nie są idealne i nie „otwierają się” przed nami. Możemy je rozumieć jako hipotetyczny zbiór rozmaitych desygnatów podpadających pod odpowiedni termin. Rzekoma absolutność i idealność takiego pojęcia sprowadza się po prostu do tego, że „słownik nie wybiera interpretacji”, czyli wszystkie możliwe poprawne zastosowania wybranego pojęcia pozostają niewykluczone. Jeśli ktoś chce mówić górnolotnie (a Ingarden miał do tego silne upodobanie), to może powiedzieć, że pojęcie jest jak „zamknięta szkatułka

ka”, w której jest wszystko, co może tam się znaleźć. Dopiero kontekst „otwiera tę szkatułkę”, eliminuje pewne interpretacje i pozostawia inne jako nadal możliwe. Te możliwe interpretacje „trzymane są w pogotowiu” podczas lektury, i dobre rozumienie dłuższego tekstu polega na wielokrotnej korekcie tego, co przyjęliśmy jako pierwsze odczytanie sugerowane w tekście lub domniemane przez nas jako sens literackiego tekstu.

Interpretacje warunkowe

Celowa dwuznaczność odgrywa wielką rolę w dobrej literaturze. Skłania czytelnika do uważniejszego śledzenia rozmaitych wątków w powieści lub sztuce, ułatwia warunkowe odczytanie tekstu. Ta dwuznaczność może też dotyczyć kategorii metafizycznych. W książce *O dziele literackim* jest interesujący fragment.

Istnieją szczególne proste lub pochodne jakości, takie jak np. wzniosłość (czyjejś ofiary) lub podłość (czyjejś zdrady), tragiczność (czyjejś klęski) lub straszliwość (czyjegoś losu), to, co wstrząsające, niepojęte lub tajemnicze, demoniczność (czyjegoś czynu lub pewnej osoby), świętość (czyjegoś życia) lub jej przeciwieństwo: grzeszność czy „piekielność” (np. czyjejś zemsty), ekstatyczność (najwyższego zachwytu) lub cisza (ostatecznego ukojenia) itp. Należą tutaj także tego rodzaju jakości, jak groteskowość pewnego zjawiska lub postaci, albo patetyczność czyjegoś zachowania się, uroczystość pewnego obrzędu, albo np. wdzięk i lekkość dziewczęcego ruchu lub przeciwnie: powaga i pewnego rodzaju ciężkość czyjegoś usposobienia i sposobu bycia itp. (Ingarden 1988, s. 368).

Powiem, jak chciałbym ten fragment rozumieć. Ingarden wylicza tu „jakości pochodne” – jak sam pisze – czyli podaje cechy, które nie służą do określenia zakresu opisywanych przedmiotów, tylko określönemu już zbiorowi przedmiotów przypisują dodatkowe, redundantne cechy, wzbogacające charakterystykę tych przedmiotów. Wymienia: „wzniosłość (czyjejś ofiary), podłość (czyjejś zdrady), tragiczność (czyjejś klęski)”. Sądzę, że chce te zwroty interpretować tak: wiemy, o jakie ofiary chodzi i teraz kontemplujemy ich wzniosłość; wiemy, o jakie zdrady chodzi i teraz dostrzegamy ich podłość; wiemy, o jakie klęski chodzi i dręczy nas ich tragiczność. Ale jeśli te przydawki nie określają zakresu terminów, przy których stoją, to wolno nam uznać, że w ten sam sposób pełnią swą funkcję niezależnie od tego, do jakiej kategorii przedmiotów się odnoszą. Jeśli czyjaś ofiara była wzniosła, to była wzniosła w ten sam sposób i z równą intensywnością, bez względu na to, czy to była ofiara realna, czy intencjonalna. I podobnie, jeśli dwa przypadki zdrady były podobne i różni je tylko kategoria metafizyczna, to podłość zdrady realnej jest taka sama, jak podłość zdrady intencjonalnej. I także realna klęska oraz intencjonalna klęska, gdy są podobne,

są równie tragiczne. Pochodne jakości sytuacji realnych i intencjonalnych mogą być identyczne.

Co stoi na przeszkodzie temu, byśmy mogli przyjąć zaproponowaną wyżej interpretację „własności pochodnych”? Tylko ogólna zasada, że przynależność przedmiotu do odpowiedniej kategorii metafizycznej nie może zależeć od naszych życzeń, bo gdyby tak było, to kategoria przedmiotów psychicznych zdobyłaby przywilej decydowania o statusie przedmiotów w innych kategoriach metafizycznych: realnej, idealnej, intencjonalnej. Brzmi to bardzo woluntarystycznie. Z drugiej jednak strony weźmy pod uwagę, że domagając się ścisłej autonomii wewnętrznej w obrębie każdej kategorii, chcąc nie chcąc przyznajemy, że w każdej kategorii metafizycznej obowiązują zasady identyfikacji charakterystyczne dla kategorii idealnej. Status metafizyczny wszystkich przedmiotów, we wszystkich kategoriach, niezależnie od ich przyporządkowania, przypomina status liczb. Tak przecież Ingarden traktował pojęcia językowe – jako przedmioty o ścisłej, jakościowej tożsamości, a nie jako przedmioty przypadkowo powiązane z innymi przedmiotami w obrębie poszczególnych kategorii mocą zaszeregowania. Przyjęcie tej idealistycznej interpretacji w odniesieniu do wszystkich kategorii naraża jego teorię na cały szereg trudności. Odrzucamy bez racjonalnego wyjaśnienia argument Kanta o talarach, argument z istnienia klubowiczów, argument z „bagiennego luda” i argument z aktora zafiksowanego przez ulubioną rolę po pięćdziesięciu latach pracy. Ponadto, przestrzegając hermetycznego zamknięcia kategorii metafizycznych, czyli uznając – między innymi – że wszystko w świecie intencjonalnym musi być intencjonalne, kwestionowalibyśmy zasadę, że w świecie intencjonalnym to, co tu wydaje się nam urojone i umowne, tam ma status realny. Tego nie wolno robić. Dla Ofelii Hamlet jest realnym mężczyzną i byłoby czymś absurdalnym, gdybyśmy próbowali „otworzyć jej oczy na fakty”. Realność Hamleta w świecie intencjonalnym nie jest efektem jej zadurzenia, tylko jest następstwem faktu, że postaci intencjonalne nie wiedzą, że są intencjonalne (co notabene potwierdza książka dla dzieci *Świat Zofii* Josteina Gaardera). Wreszcie nie umielibyśmy wyjaśnić, jak to jest możliwe, że realizując w wyobraźni rozmaite sceny z literatury pięknej, możemy tym scenom narzucić nasz własny, realistyczny czas, zamiast poddać się wewnętrznemu czasowi, który rządzi na przykład w filmie i teatrze. Na koniec, uznając pełną autonomię poszczególnych kategorii metafizycznych, opowiadamy się odruchowo za przyjęciem pierwszej (naturalistycznej) propozycji interpretowania ich statusu, mimo jawnej naiwności tego podejścia. Na największe zaufanie zasługuje – moim zdaniem – propozycja trzecia, ponieważ nie zakłada istnienia naturalnych konieczności jak propozycja pierwsza, nie legitymizuje arbitralnych założeń jak propozycja druga, a jedynie w sposób pragmatyczny – czyli bez ogólnej teorii – wybiera rozmaite rozwiązania od przypadku do przypadku, unikając niekonsekwencji i minimalizując arbitralność. Na tym kończę agitację i przechodzę do wniosków.

Jeśli uznamy, że pewne właściwości – te mianowicie, które Ingarden nazwał „własnościami pochodnymi” – w ten sam sposób przysługują przedmiotom realnym i intencjonalnym, to wolno nam przyjąć, że sytuacje realne i literackie oddziałują na nas tak samo, z równą siłą i równie wiarygodnie. Wolno nam wtedy uznać, że nasze reakcje emocjonalne są takie same bez względu na to, czy rozpatrujemy i przeżywamy perypetie bohaterów realnych, czy urojonych. Wtedy sztuka pozwala nam przeżywać los bohaterów jakiejś opowieści tak, jakby to były postacie z krwi i kości. To bardzo wzbogaca nasze życie, a nadto ułatwia zrozumienie tego, jak chcielibyśmy zachować się w świecie realnym, gdybyśmy nie byli empirycznymi „nam”, tylko kimś lepszym, i potrafili działać w zgodzie ze swymi lepszymi intencjami. W ten sposób sztuka dyskretnie nas wychowuje. Choć nie każdego, i może nie na długo. Jest też prawdą, że wtedy sztuka może nas dyskretnie deprawować, osłabiając determinację, a nawet przez skłanianie nas do łatwego usprawiedliwiania swych błędów. Choć może też nie każdego i nie na długo. W każdym razie zdolność prowadzenia życia równoległego, w świecie realnym i w światach intencjonalnych, niesłuchanie poszerza naszą wrażliwość, domyślność i docieklivość. Co chciałbym spointować pięknym fragmentem z Ingardena.

[Pewne j]akości [...] nie są właściwościami pewnych przedmiotów w normalnym tego słowa znaczeniu, ani też cechami tych lub owych stanów psychicznych, lecz objawiają się zazwyczaj w złożonych, a często bardzo różniących się między sobą sytuacjach życiowych lub międzyludzkich zdarzeniach, jakby jakaś szczególna ich atmosfera, unosząca się nad nimi i otaczająca rzeczy i ludzi uczestniczących w tych sytuacjach, atmosfera, która wszystko przenika i światłem swym wszystko rozświetla. W codziennym naszym życiu nastawionym na drobne praktyczne cele i ich urzeczywistnianie, stosunkowo rzadko zdarzają się sytuacje, w których pojawiają się tego rodzaju jakości. Życie nasze płynie – jeżeli tak można powiedzieć – bez sensu, w codziennej szarzyźnie i powszedniości [autor pisze: „powszechności”, ale to chyba błąd – J.H.], bez względu na to, jak wielkie dzieła udaje się nam realizować w tym mrówczo czynnym i ruchliwym życiu. Aż wreszcie pojawia się dzień – jak dar łaski – w którym z nic nie znaczących i nie zauważonych na razie przyczyn, z przyczyn zresztą zazwyczaj ukrytych, rodzi się „zdarzenie”, które spowija nas i świat się dokoła nas rozpościerający jakąś przedziwną, nie dającą się opisać atmosferą. Jakakolwiek mogłaby być jej szczególna jakość, straszliwa czy zachwycająca, aż do zupełnego urzeczenia i zapomnienia o sobie, ona to sprawia, że dane zdarzenie odcina się od powszedniej szarzyzny dni świetnym przepychem barw i staje się punktem szczytowym naszego życia (Ingarden 1988, s. 368).

Bibliografia

- Austin J.L. (1993), *Mówienie i poznawanie*, przekład, wstęp i przypisy B. Chwedeńczuk, Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe.
- Davidson D. (1987), *Knowing One's Own Mind*, „Proceedings and Addresses of the American Philosophical Association” 60.
- Ingarden R. (1988), *O dziele literackim*, przeł. M. Turowicz, Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe.
- Putnam H. (1998), *Mózgi w naczyniu*, w: tenże, *Wiele twarzy realizmu i inne eseje*, przekład, wstęp i przypisy A. Grobler, Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe.
- Szekspir W. (1958), *Hamlet*, przeł. J. Paszkowski, w: W. Szekspir, *Dzieła*, t. VI, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy.

J a c e k H o ł ó w k a

Reading books and metaphysics

Keywords: *areas of underdetermination, an ideal world, intentional worlds, mental worlds, performatives, quasi-reality, a real world*

Each work of literature creates its own world of fiction and presents a series of events that bring that world to life. Such a world is initially evoked by its author, but subsequently continues to exist supported by collective memory and imagination of the readers and critics. Altogether Roman Ingarden admits four metaphysical categories: the real, the ideal, the mental and the intentional world. A puzzling question arises if we inquire how various objects are included into any of these categories. Is it necessary that they meet some qualitative criteria, or is it possible that they are placed in a suitable category by being freely ascribed to it? The author chooses the second option and argues that this is compatible with the eminent role that Ingarden assigned to works of literature.